

le PARFUM

Camilla Cat

MUST HAVE
sezonu



Perfumy to klucz do jej wspomnień i tajemnic...

Le Parfum

Camilla Cat

Z Krainy Marzeń
Warszawa 2022

*„Perfumy to sztuka, dzięki której przemawiają
wspomnienia.”*

Francis Kurkdjian – światowej sławy francuski perfumiarz

Nie wiem, jak się zaczyna, ale ten koszmar zawsze kończy się tak samo. On stoi koło fontanny w upalny, słoneczny dzień. Kamienna kostka ulicy, jest tak nagrzana, że bije od niej żar. Mam wrażenie, że parzy mi stopy przez podeszwy butów. Powietrze miesza się z kurzem ulicy, wdziera do płuc, pali mnie od środka. Czuję, że brakuje mi tchu i muszę się napić. Natychmiast.

Biegnę do fontanny. On stoi i wpatruje się w zdobiącą ją rzeźbę – dziwną, złowieszczą i jednocześnie tajemniczą. Ma na sobie ciemne spodnie i jasną koszulę. Marynarkę nonszalancko przewiesił przez lewe ramię. Nie widzę jego twarzy, ale wyobrażam sobie, że wygląda doskonale, że jest podobny do greckiego boga, wykutego z marmuru przez Berniniego.

Zatrzymuję się i próbuję zawołać, żeby odwrócił się w moją stronę, ale gdy otwieram usta, nie wydobywa się żaden dźwięk. Moje gardło jest suche i spieczone jak ziemia na pustyni, która nigdy nie zaznała ożywczego deszczu. Oblizuję usta, ale to tylko pogarsza sytuację. Wargi pękają od gorąca, czuję, że za chwilę popłynię z nich krew.

Znów ruszam w jego stronę. Tym razem powoli, bo każdy kolejny krok bardziej przypomina stąpanie po rozżarzonych węglach. Dystans jednak wcale się nie zmniejsza. Jest tak, jakbym szła po ruchomej bieżni. Przyspieszam i chociaż wtedy udaje mi się pokonać kilka metrów, wciąż dzieli nas kilkanaście. Próbuję ignorować palenie, które czuję w stopach, mimo że doskwiera mi coraz bardziej. Idę szybciej i szybciej, aż w końcu zaczynam biec. Nogi zdają się mi płonąć, a ja marzę, żeby dobiec do fontanny i wskoczyć do niej; ugasić ogień, który mnie trawi. Jestem już dość blisko mężczyzny, by wiedzieć, że za chwilę dotknę jego marynarki, a on się odwróci. Widzę, że głowa mu drgnęła, zapewne mnie usłyszał. Muskam jego rękaw i otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy żar ze mnie uchodzi – przez oczy i usta. Nagle, niepodziewanie, jakbym była smokiem, który zije ogniem, niszcząc wszystko

na swojej drodze. Wybucham wtedy i się spalam.

Otwieram oczy i muszę natychmiast się napić. Kręci mi się w głowie, bo jak zawsze za szybko wstaję z łóżka, wręcz pędzę do kuchni po szklankę wody. Ręka mi drży, gdy podnoszę do ust szklankę, chociaż nie dygoczę z zimna. Wręcz przeciwnie – czuję, jak po plecach spływa mi strużka potu. Piję. Szybko i łapczywie, ale nawet po wypiciu całej szklanki nie czuję się lepiej. Nie czuję, żebym ugasiła pragnienie. Przez te okropne upały koszmar staje się coraz gorszy, intensywniejszy. Czasem krzyczę przez sen tak, jakby trawił mnie żywy ogień. Odczucie jest niezwykle przejmujące, muszę natychmiast wstać i biec pod prysznic. Dopiero wtedy przychodzi ulga i pewność, że moja skóra nie jest poparzona.

Dolewam sobie wody, ale tym razem piję powoli, delektując się jej orzeźwiającym smakiem. Gdy jestem w połowie, odstawiam szklankę. Moja dłoń jest lodowata od trzymania zimnego szkła. Przykładam ją do rozpalonego policzka. Twarz pulsuje od emocji tak bardzo, że mogłabym policzyć żyły, które mi wyszły na czoło. To wzmacnia mój niepokój, jakby sen jednak mógł stać się jawą. Wiem, że to niemożliwe, ale w środku nocy jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

Wracam do sypialni, włączam światło i przyglądam się ścianie przy łóżku. Nie wiem, ile razy szkicowałam swój sen – fontannę, detale rzeźby, która ją ozdabia, i mężczyznę stojącego przy niej. Wszystkie rysunki są niemal identyczne, choć niekompletne, a za każdym razem, kiedy na nie patrzę, czuję, że to nie tylko sen. To coś więcej. To wspomnienie.

W mieszkaniu jest duszno, ale otwieranie okien nie pomaga, więc tego nie robię. Do środka wlałoby się upalne powietrze, a ja muszę się jak najszybciej ochłodzić. Muszę uspokoić skołatane myśli i spróbować zasnąć. Nawet jeśli za chwilę znowu przyjdzie mi przeżyć ten sam koszmar i obudzić się z krzykiem.

Może kiedyś to się skończy. Wierzę, że to możliwe, ale

dopiero gdy poznam prawdę. Tak. Prawdę. Najpierw jednak muszę wziąć zimny prysznic.

Budzę się, a ręka automatycznie wędruje do telefonu. Zastanawiam się, ile czasu zostało mi do momentu, gdy alarm się włączy i zmusi mnie do wstania. Czuję się wykończona. Zawsze tak jest, kiedy mam koszmar, więc praktycznie codziennie brakuje mi sił. Mija kilka godzin, nim się uspokoję na tyle, żeby znów zasnąć. Zajmuję myśli czymś innym – książką, muzyką – ale to nie pomaga. Czasem w środku nocy sięgam po tabletki. Ziołowe, uspokajające. Według lekarza powinny działać, jeśli biorę je regularnie, co wieczór. Tak robię, tyle że nie mam trudności z wieczornym zasypianiem. Problemem jest budzenie się w nocy i przeżywanie tego, co widzę w swoich snach. Kiedy powiedziałam o nich lekarzowi, wysłał mnie na psychoterapię. Odparłam, że nie mam na to pieniędzy, więc zalecił mi wieczorne spacerowanie, medytację i inne metody relaksacyjne. Próbowалаm niektórych, ale na nic się nie zdały. Może powinien przepisać mi naprawdę mocne tabletki, po których prześpię całą noc. Ale co, jeśli przez to utknę w moim koszmarze na kilka godzin bez szans na wcześniejsze przebudzenie?

Wzdrygam się na tę myśl. Tkwienie w ogniu, nawet jeśli istnieje tylko w mojej głowie, nie wchodzi w grę. Tabletki, które wzięłam w nocy w końcu zadziałały. Zasnęłam, ale teraz czuję się kompletnie rozbita. Ziołowe, delikatne tabletki, myślę. Nie chcę wiedzieć w takim razie, jak czułabym się po czymś mocniejszym. Nie wiem, czy zawsze tak reagowałam na leki, ale od wypadku jestem nadwrażliwa na ich działanie. Muszę zwracać uwagę na przyjmowane dawki, nawet zwykłego ibuprofenu. Z jakiegoś powodu wszystko silnie na mnie działa, jakby mój organizm wzbraniał się przed tym, co z zewnątrz.

Mój umysł chyba też.

W końcu udaje mi się dosięgnąć telefonu i jednym okiem spojrzeć na ekran. Cyfry są tak zamazane, że nie jestem pewna, czy widzę sześć czy osiem. W końcu wzrok się wyostrza, a ja odczytuję godzinę – ósma zero jeden.

– Cholera! On mnie zabije.

Wyskakuję z łóżka jak rażona piorunem i pędzę do krzesła, na którym zostawiłam ciuchy. Zerkam na koszulkę, która nie prezentuje się najlepiej, ale nie mam czasu jej prasować. Już jestem spóźniona. W duchu cieszę się z tego, że chociaż prysznic mam za sobą, więc wystarczy, że umyję zęby, założę jeansy, koszulkę i mogę wychodzić. Po drodze wyślę Loli esemesa, że już jadę. Dziwię się, że jeszcze nie ma dość krycia mnie za każdym razem. Sięgam po komórkę i wrzucam ją do małej torebki. Szybko zerkam na swoje odbicie w lustrze i dorzucam do niej jeszcze szczotkę do włosów i puder.

– Tyle musi wystarczyć – mruczę pod nosem i wybiegam z domu, prawie zapominając o tym, żeby zamknąć drzwi na zamek. Biegnę do metra, przeciskając się przez tłum ludzi, którzy stoją na ruchomych schodach, upchani jak sardynki. Udaje mi się dopaść pociąg tuż przed odjazdem. W ostatniej chwili prześlizguję się między drzwiami i wtedy oddycham z ulgą. Staję przy wyjściu, wyciągam telefon i sprawdzam połączenia. Lola wysłała już kilka esemesów z pytaniami, kiedy dotrę, więc szybko jej odpisuję, że jestem w drodze.

Pewnie znów będę miała problemy, ale teraz nic na to nie poradzę. Czy moje życie już zawsze będzie tak wyglądać? Większość ludzi żyje od pierwszego do pierwszego, ja – od koszmaru do koszmaru. Potrząsam głową, jakbym mogła tak wyrzucić z umysłu tę myśl. Albo przynajmniej się dobudzić. Nie mogę się tym zadrećcać, nie teraz. Wyjmuję z torebki szczotkę, przeczesuję włosy i splatam w kok. To wszystko, na co teraz mnie stać, resztą zajmę się później.

Patrzę na zegarek. Jest ósma trzydzieści. Nie najgorzej, biorąc pod uwagę, o której godzinie wstałam. Wiem, że i tak będę musiała się tłumaczyć, jeśli Goguś mnie zobaczy. Tak z Lolą nazywamy Bogusia, czyli Bogdana, samozwańczego kierownika kawiarni, w której pracujemy. Do tej pory nie wiem, jak to się stało, że ktokolwiek mógł powierzyć mu zadanie bardziej skomplikowane od zgniatania puszek. Może ta kawiarnia to jedynie przykrywka – pralnia brudnych pieniędzy – i nikomu nie przeszkadza, że Goguś właściwie nic nie robi, ale czasem sam wypłaca sobie z kasy bonusy za swoją ciężką pracę. Świat jest dziwny.

Wbiegam do środka i instynktownie rozglądam się w poszukiwaniu czerwonej, nalanej twarzy Gogusia. O dziwo za ladą nie widzę Loli, ale na pewno jest już na miejscu. Przechodzę pod ladą i szybko myję ręce, po czym zakładam czysty fartuszek. W zlewie stoją brudne kubki, zaczynam więc wkładać je do zmywarki, zupełnie jakbym była tutaj i pracowała już od siódmej trzydzieści.

– niespodzianka – słyszę za sobą wesoły głos Loli, która jednocześnie zasłania mi rękami oczy. Chociaż podskakuję na ten nagły, niespodziewany dotyk, to jednak bezwiednie się przy tym uśmiecham. – Zgadnij, kto to.

– Hmm, Goguś? – żartuję, żeby rozładować swoje napięcie i od razu słyszę jej chichot.

– No co ty. On przyłożyłby ci od razu do głowy pistolet albo zarzucił sznur na szyję.

– Dzięki. – Odwracam się do niej i od razu widzę, jak jej mina rzadnie, co jest najbardziej wymownym komentarzem do tego, jak kiepsko dziś wyglądam.

Tak, te sińce zadomowiły się pod moimi oczami na dobre.

– Kolejny koszmar? – pyta, chociaż zna już odpowiedź.

– Zaraz coś na to zaradzimy. – Bierze małą filiżankę i szybko

przygotowuje aromatyczną porcję espresso. – Masz, to ci pomoże. – Wciska mi kawę w rękę, a ja wychylam ją jednym ruchem. Już sam zapach niesie ukojenie.

– Dzięki. Potrzebowałam tego. Znow nie mogłam spać – mówię cicho, choć wiem, że przed nią nie muszę się usprawiedliwiać.

– Tak myślałam. Słyszałam w nocy twoje krzyki, a kiedy rano zadrzałam do ciebie, to spałaś tak mocno, że nie chciałam cię budzić. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam. Mam nadzieję, że on niczego nie widział – mówi, zerkając w stronę drzwi, za którymi mieści się niewielkie biuro kierownika.

Goguś lubi tam przesiadywać i robić nie wiadomo co, była więc spora szansa, że nie zauważył mojej nieobecności.

– Mam nadzieję. Gdyby nie ty, już dawno by mnie z rozkoszą zwolnił.

– Nie przejmuj się nim – mówi rażno, poklepując mnie po ramieniu. – To palant, ma tę robotę, bo wie z kim pić. Gdyby sam musiał wskoczyć w fartuszek i zakasać rękawy, to nie wiedziałby, w co włożyć ręce.

Uśmiecham się, bo Lola zawsze potrafi mnie pocieszyć i podsumować każdego celnie w jednym zdaniu. Nie chciałabym się nigdy znaleźć na jej czarnej liście, chociaż poza ciętymi ripostami i sarkastycznymi uwagami, niczym nikomu nie zagraża. To najlepsza, najbardziej uczynna osoba, jaką znam, i gdyby nie ona, nie wiem, co by ze mną było. Może dlatego wciąż tak bardzo potrzebuję jej aprobaty.

Patrzę na kuchnię i nasze miejsce pracy. Wszystko jest gotowe na przyjęcie klientów, ale dzisiaj przychodzi niewielu. Może komunikacja miejska ma jakieś problemy. Pewnie nawaliło metro, tramwaj albo kilka autobusów się spóźniło, przez co za chwilę zaleje nas wściekła fala spóźnionych już pracowników, którzy nie mogą obejść się bez kubka porannej kawy kupowanej zawsze po drodze.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawia się kobieta, a za nią

kilku mężczyzn. Witam ją uśmiechem i pytam, w czym mogę pomóc. Większość klientów jest w porządku, ale czasem się zdarza, że ktoś sili się na dowcip. Mówi coś w stylu „możesz mi pomóc, robiąc kawę, w końcu po to tu jesteś” albo „możesz mi pomóc po zerwaniu z dziewczyną. O której kończysz? Podjadę po ciebie moim bmw”. To jest czasem śmieszne, czasem irytujące, ale daję sobie z tym radę. Najbardziej nie lubię takich, którzy na mnie czy na Loli wyładowują frustrację i gniew. I to tylko dlatego, że parzymy im kawę, a nie podbijamy biur czy sal sądowych. Jakby nie wiedzieli, że ich grubiaństwo i snobizm świadczą na ich niekorzyść. Zresztą od kilku tygodni wszyscy są coraz bardziej nerwowi. Myślę, że to przez te upały.

Od dwóch godzin bez przerwy obsługujemy klientów i przygotowujemy dla nich zamówienia, słuchając w kółko, jak gorąco jest na zewnątrz i że to wina globalnego ocieplenia. Najbardziej mnie śmieszą ci, którzy wygłaszają mowy na temat zanieczyszczania planety, pływającej wyspy śmieci, a potem narzekają na brak plastikowych słomek, niezadowoleni z papierowych, bo za szybko rozmakają.

Mamy szczęście, że klimatyzacja w kawiarni w ogóle działa, ale jest tak ustawiona, że chłodne powietrze przede wszystkim czuć w sali dla gości. Za ladą jest goręcej. A może tylko mi się wydaje, bo jestem w ciągłym ruchu. Razem z Lolą pracujemy za cztery i uwijamy się tak szybko, jak to możliwe. Wiem, że to nie jest najlepsza praca, ale przynajmniej mam towarzystwo przyjaciółki, a aromat kawy tłumi inne zapachy, na które jestem tak wyczulona.

Kiedy mija największy ruch, sprzątam w kuchni. Przez kilka minut nikt nie wchodzi do kawiarni, więc to idealny moment, żeby zrobić sobie chwilę przerwy. Od razu biorę kilka dużych łyków z butelki zimnej wody, czując, jak po czole spływa mi kropla potu. Pewnie wyglądam koszmarnie. Czerwone policzki, podkrążone oczy i włosy, które wymykają się z mojego luźnego koka i kładą na ramionach. Czuję się tak,

jakbym przebiegła maraton.

Lola zerka na drzwi, za którymi siedzi Goguś, ale nie słyhać, żeby cokolwiek się tam działo. Zastanawiam się, czy on tam jeszcze jest i jak można wytrzymać tyle godzin w zamkniętym pomieszczeniu. Wiem, że ma tam klimatyzację, ale biuro jest strasznie klaustrofobicznie, jakby siedzieć w trumnie. Nie wytrzymałabym tam ani chwili.

– Może tam umarł i zaczął się już rozkładać? – żartuje Lola i obie wybuchamy śmiechem. – No dobra, chyba już czas na...
– składa dwa palce w dobrze mi znanym geście.

– Powinnaś to rzucić. Chcesz dostać raka? – straszę ją jak zawsze, ale ona ignoruje mój komentarz.

Kręcę głową z dezaprobatą, ale sięgam do tyłu, żeby rozwiązać fartuszek; małe podwórko, gdzie robimy sobie przerwy, jest ocienione i o tej porze temperatura będzie tam jeszcze znośna. Niestety w tym momencie do kawiarni wchodzi klient. Na jego widok Lola przewraca oczami, ale tak, że tylko ja to zauważam.

– Idź. – mówię. – Ja się tym zajmę i za chwilę do ciebie przyjdę. – Po porannym spóźnieniu jestem jej winna znacznie więcej niż taką drobną uprzejmość.

Lola patrzy na mnie pytająco, jakby chciała się upewnić, że rzeczywiście nie mam nic przeciwko, żeby wyszła, ale daję jej znak, że wszystko jest w porządku. Nim zniknie na zapleczu, spogląda na mężczyznę, który podchodzi do lady. Lustruje go wzrokiem i mruga do mnie znacząco, bezdźwięcznie wymawiając „wow”.

Ja pokornie zawiązuję fartuszek i stoję przy kasie, żeby przyjąć zamówienie.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – pytam z uśmiechem, choć czuję, że po czole znowu spływa mi kropla potu. Upały i zmęczenie robią się nie do wytrzymania.

Mężczyzna po drugiej stronie lady wciąż wpatruje się w iPhone’a, na którym coś pisze. To jeden z tych typów, którzy

nie przejmują się nikim ani niczym. Drogi garnitur, zegarek, telefon. To na pewno jakiś dupek, kwituję w duchu. Swoją drogą jak on wytrzymuje w tym upale w marynarce. Może tylko wyskoczył na chwilę z klimatyzowanej limuzyny. Nie, pewnie wysłałby kierowcę. Zastanawiam się, czy powinnam powtórzyć pytanie czy znacząco chrząknąć, żeby wymusić jakąś reakcję i przypomnieć, że czekam, aż coś zamówi. Już otwieram usta, ale wtedy on się wreszcie odzywa:

– Dzień dobry. Podwójne espresso i croissant z szynką na wynos – mówi, nadal nie podnosząc wzroku.

– Świetnie, może do tego ciasteczko, mamy bardzo dobre...

– Nie, dziękuję, to wszystko.

Jednak dupek.

– Oczywiście. Razem Piętnaście złotych. Zapłaci pan kartą czy gotówką?

Nie odpowiada, jedynie wyciąga kartę. Gdy chowa portfel, dzwoni telefon, a on bez słowa wychodzi na zewnątrz. Zastanawiam się po co, przecież w kawiarni nie ma nikogo oprócz mnie. Jest chłodniej i cicho, warunki idealne. Nie mam zamiaru go podsłuchiwać, jestem w pracy. Im szybciej przygotuję jego zamówienie, tym szybciej zrobię sobie przerwę. Pakuję croissanta i robię espresso. Mężczyzna nadal rozmawia na zewnątrz. Tęsknym wzrokiem spoglądam w kierunku zaplecza i upragnionej przerwy, co chwilę zerkając jednak na klienta. Mógłby przecież wejść, wziąć zamówienie na wynos, nie przerywając rozmowy. Trochę głupio byłoby zostawić jego zamówienie na ladzie i po prostu pójść sobie na przerwę. Zresztą gdyby Goguś to zobaczył, pewnie obie byśmy oberwały.

W końcu pakuję całe zamówienie do papierowej torby i niosę na zewnątrz, żeby je wręczyć dupkowi. Żar leje się z nieba taki, jakby z kawiarni wychodziło się w sam środek Słońca. Gdyby tylko poczuć odrobinę wiatru, gdyby powietrze choć trochę się ruszyło, dzień byłby znośniejszy, może nawet piękny.

– Proszę, to dla pana – mówię, podsuwając tamtemu torbę

z zamówieniem.

Odbiera ją ode mnie i w tym momencie naprawdę czuję delikatną bryzę, owiewającą moją twarz, niosąc ze sobą zapach kwitnących kwiatów oraz jego perfum...

Widzę nasze złęczone ręce. Czuję ich ciepło. Tańczymy na środku ulicy, niedaleko fontanny. Biegniemy po kamiennych schodkach. Słyszę jego śmiech. Wiem, że to on, chociaż nie widzę go wyraźnie. Mówi coś do mnie, ale nie mogę go zrozumieć. Za głośno biją kościelne dzwony, przeszkadzają mi w rozszyfrowaniu jego słów. Mam wrażenie, że ich bicie wypełnia mi głowę, sprawia, że zaraz oszaleję.

Wtedy otwieram oczy i znowu go słyszę.

– Wszystko w porządku? – pyta, pochylając się nade mną.

W pierwszej sekundzie nie mogę pojąć, jak to możliwe, że jest aż tak wysoki. Po chwili już wiem, że to ja leżę na chodniku. Jeszcze nigdy nie zemdlałam, a przynajmniej tego nie pamiętam. Nie wiem, co odpowiedzieć, w głowie mam gonitwę myśli.

– Źle się pani czuje, mam kogoś wezwać? – pomaga mi się podnieść i usiąść na krześle przy jednym ze stolików ustawionych w cieniu. Przez jego twarz przebiega grymas zmartwienia. A może to jednak irytacja. Sama nie wiem.

– Nie, już mi lepiej – mówię, próbując uspokoić oddech.

– To pewnie przez upał. Proszę wejść do środka.

– Nie, to przez pańskie perfumy – odpowiadam bez zastanowienia.

– Moje perfumy? – Marszczy brwi i się prostuje.

– Tak, może to dziwne, ale pańskie perfumy są bardzo znajome, nie wiem, jak to wyjaśnić... – mówię chaotycznie, oszołomiona tym, co właśnie widziałam i poczułam. Pewnie weźmie mnie za wariatkę. Sama tak się czuję.

Jego telefon znów dzwoni, a ja wiem, że za chwilę stracę szansę, żeby zapytać o ten zapach. Mężczyzna wyciąga z kieszeni komórkę, ale nie odbiera od razu, jakby czekał, dawał mi czas, żebym coś powiedziała. Zatrzymała go.

Teraz albo nigdy.

– Wiem, że to wydaje się bez sensu, ale proszę dać mi chwilę, nie może pan jeszcze odejść. Proszę mi pozwolić wyjaśnić.

Zerka na iPhone'a i przez chwilę wyraźnie się waha. Tym razem na jego twarzy zdecydowanie widzę irytację; głośno wzdycha. W końcu wycisza sygnał i patrzy na mnie w sposób, który jasno mi mówi, że mam się streszczać.

– To zabrzmiało jak kiepski żart, ale przysięgam, że to prawda – zaczynam, po czym biorę głęboki wdech. Muszę jak najszybciej streścić mu opowieść, którą do znudzenia powtarzałam już dziesiątki razy. Ale nigdy w takich okolicznościach. – Dwa lata temu znaleziono mnie przy stacji metra. W ciężkim stanie, trafiłam do szpitala. Nic nie pamiętałam, nikogo nie znałam. Nie wiem, co się ze mną stało ani kim jestem. Dotąd nie udało mi się nawet dowiedzieć, jak mam na imię, nie mam żadnych wcześniejszych wspomnień. Dopiero teraz, kiedy poczułam ten zapach, to coś sobie przypomniałam.

– Co takiego? – mówi w końcu drętwo, a ja nie jestem pewna czy rzeczywiście chce usłyszeć odpowiedź.

– Zobaczyłam jakieś obrazy, urywki wspomnień. Pierwszy raz. Brzmi niedorzecznie, ale nie mogę tego tak zostawić. Pan jest moim jedynym tropem. Proszę mi pomóc.

Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, od razu mówiąc mu o wszystkim. Już nie raz ktoś próbował wykorzystać moją amnezję do swoich celów albo głupich żartów, wzbudzając przy tym moje nadzieje. Teraz jednak sama zaryzykowałam. Gdyby nie te upały, może nie postąpiłabym tak nieostrożnie.

Patrzę na niego – wygląda na zbitego z tropu. Rozgląda się, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie nagrywa, żeby wrzucić

do sieci kolejny *prank*. Chcę coś dodać, przekonać go, że to nie dowcip, ale wtedy podbiega Lola.

– Sam, co się dzieje? On coś ci zrobił? – Patrzy na mnie pytająco, pewnie zastanawia się, co robię przy stoliku. Widzę wyraźnie, jak jej wzrok się zmienia, gdy pada na mężczyznę.

Ten wygląda tak, jakby nie miał pojęcia, jak zareagować na moją tyradę, ale wtedy z opresji wybawia go ponownie dzwoniący telefon. Odbiera i odchodzi na parę metrów. Wciąż jest jednak w zasięgu wzroku, więc może jeszcze nie wszystko stracone. Mam wrażenie, że to wyraźny znak dla mnie, że daje mi szansę.

– Co ci się stało? Wyglądasz blado. Dlaczego tu siedzisz? – Lola zalewa mnie pytaniami, przyglądając się mi troskliwie.

– Nic. Ale coś sobie przypominałam. Nie wiem, jak to opisać, po prostu nie mogę pozwolić mu odejść. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej.

Choć to, co mówię, jest zbyt chaotyczne, żeby Lola mogła mnie dobrze zrozumieć, ku mojemu zaskoczeniu jedynie marszczy brwi i kiwa głową. Nie wiem, czy mimo wszystko udało jej się pojąć coś z mojej paplaniny czy też uznała, że mam udar słoneczny i nie powinna mnie w takim stanie denerwować.

Nie myślę już o tym. Muszę wstać, podejść do niego i dowiedzieć się więcej, zanim zniknie z mojego życia, a ja stracę tę szansę na zawsze. Wstaję i podchodzę do faceta zdecydowanym krokiem, zdeterminowana, żeby nie dać się spławić.

– Wszystko to prawda, proszę mi pomóc! Nie chcę się narzucać, ale nie mogę tak panu pozwolić odejść. Niech mi pan chociaż powie, skąd ma te perfumy.

Patrzy na mnie, jakby oceniał, czy mówię prawdę. Chowa telefon bez słowa wyjaśnienia czy pożegnania, a mnie przechodzi dreszcz. Mężczyzna wyjmuję z kieszeni marynarki wizytówkę, którą bez wahania mi wręcza.

– Nie mam dużo czasu, ale mogę się z panią spotkać

o dwudziestej. Ma pani mój numer – mówi, a ja nie jestem pewna, czy teraz sobie ze mnie nie żartuje.

Odruchowo oglądam z obu stron elegancki kartonik. Czarne tło, białe litery ułożone w *Christopher Harrison*. Ciekawe, nie brzmi jak obcokrajowiec. Brytyjski numer telefonu i nic więcej. Żadnego stanowiska, nazwy firmy, logo. Niecodzienna wizytówka. Patrząc na Lolę, która cały czas nas obserwuje. Kiwa głową, jakby chciała dodać mi odwagi.

– Dobrze – mówię. – zadzwonimy do pana i...

– Nie „my”, tylko pani – poprawia z naciskiem. – Jeśli rzeczywiście zależy pani na informacji, to przyjedzie pani sama.

Dziwny warunek. Brzmienie jego słów sprawia, że znów dopadają mnie obawy. Nie wiem, co kombinuje, ale już mi się to nie podoba. Niepotrzebnie opowiedziałam mu o wszystkim. Sama przyszedłam do jaskini lwa i szturchnęłam lokatora. Teraz będzie chciał to wykorzystać.

Patrzy na mnie, jakby odczytał z mojej twarzy wszystko, o czym właśnie pomyślałam.

– Spokojnie, możemy spotkać się na lotnisku, jeśli martwi się pani o swoje bezpieczeństwo. I tak muszę być tam wcześniej. Pani chce czegoś ode mnie, ale ja mam swoje warunki. Proszę przyjść samej.

To brzmiało nieco lepiej. Na lotnisku jest dużo ludzi i ochrona. Nie będę kusić losu, a podczas rozmowy skupię się tylko na perfumach, żadnych dygresji. Jeśli zrobi coś głupiego albo nagle przypomni mu się cudownie, że jednak mnie zna, to od razu sobie pójdę.

– Dobrze, dziękuję – mówię cicho, chowając wizytówkę do kieszeni fartuszka.

– Do zobaczenia – odpowiada, po czym się odwraca i odchodzi z papierową torbą w ręce.

Po chwili wyciąga z kieszeni telefon. Nie wiem, co robi dalej, bo znika za rogiem budynku, za to obok mnie pojawia się

Lola. Sięga do kieszeni po papierosa i go zapala. Patrzy na mnie; czuję, że wyczekując, aż coś powiem, ale wtedy z kawiarni dobiegają nerwowe krzyki Gogusia.

– Gdzie jesteście do cholery? – warczy, wychodząc na zewnątrz.

Ale pech, myślę. Tym razem oberwie się też Loli, przyłapanej z papierosem przed lokalem.

– Trochę długa ta przerwa, a na stolikach syf. Może weźmiecie się do roboty? – krzyczy do mnie.

Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam z jego humorami, chociaż tym razem ma trochę racji. Nie co do bałaganu, bo zawsze od razu sprzątam, ale nie powinniśmy wychodzić razem. Goguś lubi się jednak przyczepić do wszystkiego.

– Sam źle się poczuła, musiała wyjść na zewnątrz. Nie jesteśmy robotami, Bogdan! – mówi Lola, celowo akcentując jego imię.

Goguś za nim nie przepada. Próbował nas kiedyś namówić, żebyśmy mówiły na niego „Rocky”. Chyba pozazdrościł Loli, że dla nikogo nie jest zwykłą Karoliną, i sam zapragnął jakiejś chwytliwej ksywki. Oczywiście nie dałyśmy się na to namówić. Im bardziej nas denerwuje, tym częściej używamy jego imienia.

– I ten dym z twoich fajek miał jej pomóc lepiej się poczuć? – marudzi Goguś, wskazując palcem papierosa. – Nie zaczynaj znowu. Tysiąc razy ci mówiłem, że masz tu nie palić. Biercie się do roboty, zanim was obie wywalę.

Goguś odwraca się na pięcie i kryje przed upałem w środku. W końcu poci się od samego chodzenia, a w takie dni wygląda, jakby dopiero co wyszedł z wanny pełnej potu. Widzę, jak Lola nabiera powietrza, by mu odpowiedzieć, ale muszę ją powstrzymać, zanim pokłóca się jeszcze bardziej. Wiem, że Goguś ją lubi, może nawet się w niej podkochuje i dlatego jeszcze mam tę pracę. Jednak niewrażliwość Loli na jego wdzięki chyba mu się już przejadła i ostatnio wściekał się na nas równo. Jest jeszcze inny powód, dla którego obie nadal tu

pracujemy, ale nigdy jej o to nie spytałam. Lola zawsze o mnie walczy i nie pozwala, Gogusiowi mnie gnębić, więc nie wypytuję jej o skrywane tajemnice. Nie chcę jednak, żeby przeze mnie pakowała się w kłopoty. Mam u niej tak duży dług wdzięczności, że nie mogę go powiększać jeszcze bardziej.

Wracamy do środka i zabieramy się za przygotowania na kolejną falę klientów. Reszta zmiany dłuży mi się niemiłosiernie. Im częściej patrzę na zegarek, tym bardziej czas zwalnia. Nie wiem, jak to możliwe. Na dodatek coś mnie pali – wizytówka, którą schowałam do kieszeni fartuszka zdaje się emanować ciepłem, niczym żar z mojego koszmaru. Sięgam po nią wreszcie w wolnej chwili i jeszcze raz czytam:

Christopher Harrison.

Nic mi to nie mówi.

wersja papierowa



ebook dostępny na



**WYGRAJ
WYMARZONE**

perfumy

Kup książkę, zachowaj paragon
i zrób zdjęcie z „Le Parfum”
prezentujące paryski szyk.
Regulamin konkursu na
zkrainymarzen.pl